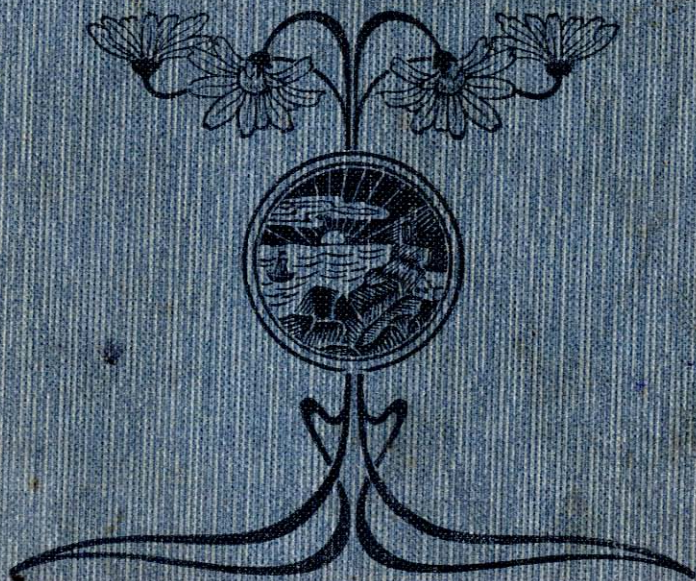


E. Jezierski

ZWYCIĘZCY
BIEGUNA

Cz. III.



ZWYCIĘZCY BIEGUNA.

ZWYCIĘZCY BIEGUŃA

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

CZĘŚĆ III

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA
i «NASZEGO ŚWIATA»

Dodatek do «N. Świata»
za Czerwiec 1912 r.



45639/3

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.
1912

K-86/77/67807

CZEŚĆ III-cia.

XIV.

Na biegunie.

Jerlicz, widząc mknącego przed sobą «Sokoła», z wywieszonym na nim nienawistnym sztandarem pruskim, posunął do ostatecznych granic szybkość «Orla», byle dopędzić zdrajców, ukarać ich za czyn tak nikczemny, a może nawet i za zbrodnię. Bo wszakże w inny sposób, jak tylko przez zbrodnię, nie mogli zawładnąć «Sokołem»!

Troska o los towarzyszy przejmowała ich smutkiem. Co się z nimi stało? Czy żyją jeszcze? Czy też ponieśli śmierć z zbrodniczej ręki Prusaków?

A może, złudzeni obietnicą świetnej i wysokiej nagrody, oddali własnowolnie «Sokoła» w ich ręce?

Lecz przypuszczenie to, wyrażone w przy-

stępie gniewu przez Jerlicza, odparł z oburzeniem Stańczak.

— Peński by miał to zrobić? — zawołał — on, co tak śmiertelnie nienawidzi Prusaków — on, co by życie oddał z największą ochotą dla chwały Polski? on, chłop kryształowy, gorący zapaleniec, co dla idei gotów wszystko poświęcić i oddać? On miałby dać się przekupić tym Prusakom? Nigdy... nigdy... nigdy!..

— A więc cóż się z nimi stać mogło? — zapytał Boniecki.

— Nie wiadomo... lecz najpewniej zginęli z rąk lotrowskich Prusaków.

Obydwa aeroplany pędziły jak szalone, w piekielnym wyścigu!

Po przebyciu pięćdziesięciu kilometrów zarysował się przed nimi ląd, z wznoszącą się na nim w głębi wyniosłą górą wulkaniczną, ziejącą ogniem i wyrzucającą wysoko kłęby popiołu i dymu.

A więc na biegunie znajdował się ląd, o którym w sprawozdaniu z podróży swej wspominał Nansen. Lecz ląd ten nie był gołą, lodowatą pustynią. Przeciwnie, okrywała go bujna roślinność, wyniosłe drzewa, o świeżej, w różnych odcieniach zieleni.

Zdumienie odbiło się na twarzach. Wszystkiego, co prawda, spodziewali się na biegunie, lecz nigdy zieleni, ani roślinności takiej, jak pod zwrotnikami!

Jerlicz się zawahał. Co teraz czynić?

Czy w dalszym ciągu ścigać aeroplan, opadowany przez Prusaków, czy też przedtem wylądować na biegunie, wziąć go w posiadanie, zatknąć na nim sztandar zwycięski?

Wtem «Sokół» począł wyrabiać jakieś ewolucje, nie mogąc spocząć na ziemi.

Uśmiech tryumfu ukazał się na twarzy Jerlicza.

— Możemy teraz stanąć na biegunie. Natrafili widać w maszynie na punkt taki, który nie pozwoli im nigdy zniżyć lotu ku ziemi. Jak Ahasver jaki krążyć będą wiecznie w przestrzeni, nie mogąc nigdy spocząć na ziemi, na którą z pożądaniem i tęsknotą z wyżyn spoglądać będą.

— A czy niema sposobu skierowania «Sokoła» ku ziemi? — spytał pan Boniecki.

— Jest, lecz trzeba znać sekret maszyny! — odparł Jerlicz.

— A czy Peński go zna? — spytał Stańczak.

— Zna...

— A więc to tem bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że Peński i Majewski padli ofiarami zbrodni, że nie oddali dobrowolnie «Sokoła» Prusakom — rzekł Stańczak.

— Tak — poważnie przytwierdził Jerlicz — i ja teraz jestem tego pewien. I to wieczne krążenie w przestworzach, bez nadziei powro-

tu na ziemię, ta oczekująca ich powolna śmierć w mękach głodowych, słuszną będzie dla nich karą za ich zbrodnię...

— Istnieje Nemezys, karząca zbrodniarzy — z powagą przytaknął profesor — choć, przyznam szczerze, nigdy nie przypuszczałem, ażeby ludzie znani w świecie naukowym, byli zdolni do popełnienia tak potwornej zbrodni w celach konkurencyjnych.

— Profesorze — zauważył pan Boniecki — ludzie ci, zanim zostali profesorami, byli wprawdzie Prusakami... Zawiść, zazdrość i błędne pojęcie patriotyzmu popchnęły ich do tego, i dla tego też czynowi ich dziwić się nie należy!

«Orzeł» posuwał się wolno naprzód, gdyż Jerlicz co chwila prawie robił obserwacje, chcąc wyładować na samym biegunie.

Lecieli nad bujnym, gęstym lasem, z którego za ich zbliżeniem unosiły się gromady ptaków.

Profesor Narbutt przyglądał się przez lunetę owej roślinności i ptakom.

Odjął wreszcie lunetę od oczu i wyszeptał:

— Araukarje... paprocie palmowe... archaeopteryx... laopteryx... Co to znaczy?.. gdzie jesteśmy?.. czy to nie złuda jaka?..

A Jerlicz tymczasem wyliczał coraz dalej:

— 89° 30', 89° 35'.

I kierował «Orła» coraz bardziej w stronę góry wulkanicznej.

— 89°50'... 89°55'... Przekleństwo! — zawołał — sam środek bieguny wypada w kraterze wulkanu!

— A więc opuśćmy się na dół, u stóp wulkanu, pieszo już dostaniemy się na szczyt jego i tam dokonajmy niezbędnych pomiarów — zauważył Boniecki.

Rada jego zyskała ogólną aprobatę i Jerlicz szybko opuszczać się zaczął w dół.

U samego podnóża góry wulkanicznej, okrytej lawą i z wychylającymi się gdzieś karłowatymi krzakami paproci, Jerlicz otworzył drzwiczki i gestem zaprosił pannę Marynię, ażeby wysiadła pierwsza.

Lecz ta cofnęła się w tył i zwracając się do profesora, rzekła:

— Panie profesorze, proszę bardzo, niech wiedza i nauka staną pierwsze na tej ziemi nieznannej!

Profesor pochylił głowę i wyszedł pierwszy z aeroplanu, a za nim w ślad podążyła Marynia, ojciec jej, Jerlicz i Stańczak.

Ku wielkiemu zdumieniu ich temperatura w tym punkcie, najdalej na północ posuniętym, była nadzwyczaj łagodna, zbliżona do temperatury południa Europy.

Nie zajmując się niczem więcej, Jerlicz rozstawił instrumenty i rozpoczął pomiary, chcąc mieć je jak najbardziej szczegółowymi.

Obliczał długo i bardzo uważnie, i wreszcie wygłosił z powagą:

— 89 stopień 59 minut 12 sekund szerokości północnej, a więc brak nam jeszcze 48 sekund, to jest prawie że półtora kilometra.

Tu spojrzął na dymiący szczyt wulkanu.

— Tam, tam właśnie jest biegun!

I nie czekając na nikogo, wdzierać się począł na strome zbocze wulkanu.

W ślad za nim poszedł, mimo swych lat sędziwych profesor i Boniecki.

Panna Marynia chciała iść za nimi, lecz ojciec powstrzymał ją.

— Nie, moja droga, musisz pozostać przy «Orla». Zbyt ciężka to i niebezpieczna droga, bym cię na nią mógł narażać.

Stańczak pałał również gorącą chęcią udania się za nimi na szczyt wulkanu, do bieguna, lecz obawa o pannę Marynię i o «Orla» powstrzymała go na miejscu.

— Pozostaję z panią, panno Marjo — rzekł — zaczekamy tu na powrót wyprawy, a tymczasem zajmijmy się przyrządzeniem posiłku.

Zaczęli się krzątać około tego, gdy naraz w przylegającym do zbocza góry lesie paproci palmowym, rozległ się jakiś szmer, jakby odgłos czyjegoś ciężkiego stąpania, łamania drzew i trzasku. Ponad koronami ich z donośnym wrzaskiem unosiły się gromady różnorodnego

ptactwa, z nieznanego zupełnie Stańczakowi gatunku.

Zaciekawiony tem wybiegł z «Orla», nie zapomniawszy wziąć z sobą karabinu magazynowego.

Wyteżył wzrok w stronę, z której odgłos pochodził i ku wielkiemu przerażeniu ujrzał po nad wierzchołkami drzew, wysokości z górą 10 metrów, jakieś olbrzymie głowy zwierzęce, kształtem zbliżone do końskich, długości prawie półtora metra.

Przeraził się tym widokiem, i trzymając w ręku karabin, z zapartym w piersi oddechem, czekał ukazania się owych potworów.

Wreszcie stojące na skraju lasu drzewa runęły z trzaskiem i na polance ukazało się dwoje zwierząt, ale jakich zwierząt!

Każde z nich przewyższało go conajmniej sześciokrotnie. Okryte skórą szarej barwy, kształtami swymi przypominały kangurów, ale kangurów potwornej wprost wielkości.

Szły na tylnych łapach, podpierając się ogonami podobnymi raczej do olbrzymich pni drzewnych.

Na widok błyszczącego w promieniach słońca «Orla» stanęły w miejscu, przypatrując mu się z zaciekawieniem.

Stańczak nie wiedział, co robić na widok tych potwornych bestji, wobec których niedźwiedź biały wydawał się malutkim pieskiem.

Pierwszą myślą jego było dobieść do aeroplanu, zamknąć się w nim z Marynią i wznieść się w przestworza.

Lecz projekt ten nie był wykonalnym z dwóch powodów: po 1-sze, zanimby zdołał dobieść do «Orla» i wznieść się w nim, potwory zdążyłyby dopaść do aeroplanu, i rozbić go na miazgę; po 2-gie zaś, na groźne niebezpieczeństwo zetknięcia się z potworami narażali się Boniecki, profesor i Jerlicz.

Postanowił więc bronić się do ostatka, licząc na to, że hukiem strzałów zdoła je odstraszyć.

Nie namyślając się długo, wymierzył do potwora prosto w łeb i wypalił.

Rozległ się głośnie echem huk strzału i jeden z potworów, wydając głuchy, podobny do grzmotu ryk, runął na ziemię, rażony kulą wybuchającą.

Drugi potwór przez chwilę stał nieruchomo, wreszcie jakby przestraszony hukiem strzału, błyskiem jego, oraz piorunującą śmiercią towarzysza, zawrócił i tratując i łamiąc wszystko, co mu stało na drodze, znikł w głębi lasu.

Stańczak z ulgą odetchnął i skierował się w stronę leżącego potwora.

Jednocześnie drzwiczki aeroplanu otwały się i stanęła w nich panna Marynia z karabinem w ręku, z oczami błyszczącymi, pobladła,

lecz i zdeterminowana do dania odporu w razie ataku potwora.

Nie uszło jej uwagi starcie Stańczaka z niemii i zwycięstwo tegoż. Płonął też w jej oczach podziw dla jego odwagi i zręczności.

Podeszła do niego i przyglądając się nieznanemu potworowi, rzekła:

— Drżałam o pana, że w razie chybienia, potwór ten zmiażdżyłby go.

— A pani, panno Marjo, co by wtedy zrobiła? — zapytał Stańczak.

— Ja?.. — odrzekła poprostu — wszakżeż miałam jeszcze jeden karabin.

Przez ten czas po stromych zboczach wulkanu pięli się do góry trzej pierwsi zdobywcy bieguny.

Jerlicz głośno liczył każdy krok, każde posunięcie się naprzód. Droga była dość stroma i ciężka, lecz on ze zwinnością kozy piął się na zbocza i ścieżyny, wytrwale dążąc do celu.

— 500 metrów! — zawołał z tryumfem, gdy stanęli na niewielkiej płaszczyźnie—jeszcze kilometr a staniemy u celu.

I posuwał się coraz dalej i dalej, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie stanęli nad samym kraterem, z którego kłębamii walił dym i popiół, i w którym słyhać było głuche warczenie gotującej się lawy.

Na samym skraju prawie dokonał Jerlicz nowych pomiarów i z żalem wygłosił:

— 89° 59' 59", a więc jeszcze 1 sekunda... sam środek krateru stanowi oś biegunową ziemi.

I wyraz żalu, że nie może tam dotrzeć, że nie może tam postawić zwycięskiej stopy odbił się na twarzy jego.

— A więc dotarliśmy do celu! — zawołał wzruszony pan Boniecki — dopieiliśmy tego, o czym marzyły setki mężów uczonych, dla czego życie dało w ofierze tylu, tylu męczenników!

To mówiąc, wydobył ukryte w zanadru jakieś zawiniątko, rozwinął je, przytwierdził do końca wysokiej laski, którą się w drodze podpierał i powiawszy w powietrzu sztandarem o barwach białoczerwonych, rzekł pełnym wrzucenia głosem:

— Panowie! na biegunie północnym stanęła pierwszą nogą polska, tylko wysiłkiem i pracą myśli i rąk polskich wydartą mu została tajemnica jego. Dlatego też uważam za słuszne ten odkryty przez nas a nieznanany dotychczas ład uczcić nazwą «Nowej Polski!..»

Głośny okrzyk «vivat!», który wydarł się jednocześnie prawie z ust profesora Jerlicza i Narbutta, był mu odpowiedzią.

Jednocześnie do uszu ich dobiegł huk strzałów. Niepokój odbił się na twarzy pana Bonieckiego. Czyżby niebezpieczeństwo jakie zagrażało «Orłowi» a zarazem córce jego i Stańczakowi?

— Wracajmy — rzekł do towarzyszy.

— Wracajmy — odrzekli mu oni, a Jerlicz dodał:

— Lecz wróćmy tu raz jeszcze z «Orłem», ażeby w miejscu tem złożyć dokument, świadczący, że stopa polska pierwsza deptała po biegunie północnym.

Schodzili z wulkanu znacznie prędzej, niż wchodzili na niego. Uplęła za ledwie godzinę czasu, gdy stanęli przy «Orle». Ze zdziwieniem nie znaleźli przy nim ani Maryni, ani Stańczaka.

Co się z niemi stało?.. Zdjął ich niepokój, gdy naraz, rozglądając się wokoło dostrzegłi obydwoje, stojących nad olbrzymiem cielskiem powalonego potwora.

Odetchnęli z ulgą. Śpiesznymi krokami skierowali się w tamtą stronę, powitani radośnym okrzykiem.

— Co się tu stało? — zapytał z niepokojem pan Boniecki.

— Nic, ojczulku — odrzekła, tuląc się do niego panna Marynia — tylko pan Stańczak zabił tego oto potwora, gdy zagrażał «Orłowi».

— Tyś... zabił go!? — zawołał z mimowolnym podziwem pan Boniecki i nachyliwszy się, przyglądał się powalonej bestji — no, tak — szepnął — strzał w oko. Takiego kolosa tylko tem powalić można.

Jednocześnie i profesor nachylony przyglą-

dał się bacznie leżącemu potworowi, a na twarzy jego odbijało się zdumienie, połączone z powątpiewaniem.

— Panie profesorze — spytała panna Marynia — do jakiego gatunku należy ten okaz?

— Szczerze powiedziawszy — odrzekł profesor — jestem w prawdziwym kłopotcie, jak nazwać to zwierzę. Ma ono wszelkie cechy *Igna nodonta*, lecz potwory te żyły przed wieloma, wieloma laty i zginęły zupełnie z powierzchni ziemi w czasie przeróżnych kataklizmów i przewrotów, jakie przechodziła. Obecnie szczątki ich znajdują się czasami w pokładach węglowych na głębokości paruset metrów pod powierzchnią ziemi. A tu znajduję je żywe, chodzące po ziemi.

To mnie zdumiewa, zarówno jak i flora lasu tego, niczem w zupełności nie przypominająca lasów, do których przywykliśmy. Toż to najwspanialszy okaz lasów pierwotnych! Te potężne, okryte zielenią w różnych odcieniach drzewa, toż to są wspaniałe okazy drzew z okresu węglowego ziemi, te potężne widłaki i skrzypy, te araukarje olbrzymie, te drzewa Ginko, te krótkopienne, zdobne w prześliczne korony palmowe cykasy — wszystko, to wszystko, od wieków zaginęło na ziemi!

Nansen, co prawda, znalazł w czasie podróży swej kopalne szczątki tych roślin, lecz

z tego nie można było wnioskować, ażeby na samym biegunie rosła ona tak bujnie. A tymczasem tu na własne oczy widzimy te dziwy. Nie mogę też jeszcze zdać sobie jasno z tego wszystkiego sprawy!

— Trzeba będzie zwiedzić szczegółowo tę tajemniczą ziemię — zauważył pan Boniecki.

— Tak, ale w pierw—przerwał Jerlicz szybko — musimy udać się na szczyt wulkanu i tam umieścić nasz dokument!

— Bardzo dobrze — odrzekł mu pierwszy, poczem zwracając się do Stańczaka, dodał z uśmiechem — ale co ty zrobisz ze swoją zwierzyną? Do pasa jej nie przytroczysz, gdyż jest trochę za duża. Chyba zawieziesz ją «Orłem» na «Polonję», by pan Kleofas przyrzadził z niej jakie pieczyste.

— Nie wieleby mógł z tego zrobić, gdyż mięso iguanodontów, jako gadów, nie należy do zbyt jadalnych! — wtrącił profesor, który do tej pory robił pomiary potwora.

Panna Marynia dokonała z niego zdjęcia, poczem wszyscy skierowali się w stronę «Orla».

Tam przystąpiono do spisania na pergaminie odnośnego aktu, brzmiącego jak następuje: «...W dniu 27 Maja 19... r. w obecności Stanisława Bonieckiego, Marji Bonieckiej, prof. nauk przyrodniczych, Joachima Narbutta, Tadeusza Jerlicza, Jana Stańczaka, wyprawa polska, przybyła na okręcie «Polonja», a następnie

na aeroplanie, zbudowanym z metali radioaktywnych, wynalezionych przez Tadeusza Jerlicza, a zwanym «Orzeł», dokonała wiekopomnego odkrycia bieguna północnego, nadając okalającym go ziemiom nazwę «Nowej Polski». W czasie podróży drugi aeroplan «Sokół», został w zdradziecki sposób opanowany przez Prusaków, należących do ekspedycji «Germanji» i zginął bez wieści. Dokument ten kładziemy na wieczną rzeczy pamiątkę dla tych, co po nas do punktu tego zawitają».

Podpisali dokument wszyscy, następnie włożono go do puszek blaszanej, zalutowano starannie, i gdy «Orzeł» wzniósł się do wyżyn wulkanu i zatrzymał się tam nieruchomo, Jerlicz umieścił ją u podnóża sztandaru, kładąc na wierzch wielkie odłamy lawy, z których zbudował pagórek.

XV.

Tajemnicza wyspa.

Po dokonaniu tego «Orzeł» wzniósł się wysoko do góry, skąd ogarnąć można było całą powierzchnię tajemniczego lądu.

Ku wielkiemu zdziwieniu swemu spostrzegli, iż przedstawia on wielką wyspę, otoczoną ze wszech stron morzem.

Powierzchnia jej mogła wynosić conajmniej 120,000 kilometrów kwadratowych, to jest równała się mniej więcej powierzchni Królestwa Polskiego. Brzegi jej nie były równe, przeciwnie przedstawiały wydłużony czworobok, przy czem dłuższa część jego ciągnęła się w stronę Ameryki.

Powierzchnia jej gęsto zarosła była lasami, poprzerzynana mnogimi strumieniami, oraz jeziorami.

Widok z góry przedstawiał się nader malowniczo.

Jerlicz, po odrysowaniu zarysów wyspy przez Stańczaka, zniżył lot i unosząc się zaledwie na wysokości pięciu metrów nad lasem, poczęli czynić szczegółowy przegląd roślinności.

Profesor Narbutt z coraz więcej rosnącym zdumieniem konstatował, że wszystkie drzewa należą do gatunków dawno zaginionych.

Obok paproci drzewiastych, z koroną olbrzymich liści, rosły prawidłowo piękne lepidodendrony, lekkie i gibkie gwiazdolistne kalamity i sygilarje z prostemi, wysmukłymi pniami.

A wszystkie okryte zielenią liści w różnych odcieniach, nie rozjaśnioną żadną inną barwą lub kwieciami.

Z zachwytem patrzeli wszyscy na ten czarowny widok, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Coś zupełnie nowego, odrębnego, niezna-

nego im dotychczas otwierało się przed ich oczami.

Światy dawno zanikłe, o których wieść już zaginęła, a których tylko szczątki nieznaczne odnajdywano od czasu do czasu w głębiach ziemi, zmartwychwstawały przed nimi, przybierały kształty realne.

Za zbliżeniem się «Orła» do lasów owych, unosiły się z nich olbrzymie stworzenia z głowami gadów, o ciele okrytem pancerzem.

To znów wznosiły się w górę olbrzymie ptaki, o kształtach nieznanych, o pyskach zbliżonych do krokodylich, potworne, straszne, podobne do owych zjawisk fantastycznych, które lęgną się w bujnej fantazji poetów lub ludu.

Profesor Narbutt na widok ten tracił zupełnie głowę.

Co to znaczy?.. Cały świat dawno zamarły wskrzeszał przed oczyma jego!

Ten ptak, nie większy od kruka lub gołębia, o skrzydłach dobrze rozwiniętych — toż to Ichtjornis. A ten tam z długim ogonem, z skrzydłami, zakończonemi pazurami, coś pośrednio między gadem a ptakiem — toż to Compsognathus. A tamten znów, tak podobien do owych smoków legendowych, z skrzydłami spiczasto zakończonemi, z nogami, zbliżonemi do nóg jaszczurki — toż to Ramphorynchus.

I tyle innych gatunków, pamięć których za-

ginęła już oddawna wśród ludzi. Tyle istot, które żyły na świecie na wiele, wiele tysięcy lat przed człowiekiem.

A «Orzeł» mknie coraz dalej i dalej.

Naraz z ust panny Maryni wydarł się okrzyk przerażenia...

Wszyscy spojrzeli w skazanym przez nią kierunku i również nie mogli powstrzymać cisnącego się na usta okrzyku zgrozy.

Przez olbrzymią łąkę, okrytą bujną trawą posuwały się trzy stworzenia, rozmiary których przyjmowały zgrozą.

Wysokie jak największa kamienica, posuwały się na czterech olbrzymich łapach krokodylich, na których spoczywało olbrzymie cielsko, zakończone grubym i długim ogonem; długa znów i stosunkowo cienka szyja, zakończona była małą główką. Ogólna długość tych potwornych olbrzymów wynosiła najmniej pięćdziesiąt łokci. Całość sprawiała wprost przerażające wrażenie.

— Profesorze — zawołał pan Boniecki — na miłość Boską, co to za potwory? do jakiego gatunku one należą?

— To — odrzekł profesor — starszy brat zabitego niedawno przez pana Stańczaka Iguanodonta. Nazywa się on Brontosaurusem i należy do gatunku dinosaurusów, tych największych olbrzymów świata zwierzęcego, jakie kiedykolwiek istniały. Iguanodont wobec niego

jest maleństwem, tak samo, jak on znów będzie karłem wobec innego krewniaka swego, Atlantsaurusa.

Toż egzemplarz jego, odkryty w Colorado, miał długości 40 metrów, szerokość w biodrach 11 metrów, sam szkielet ważył bagatelkę, gdyż tylko 20 tysięcy kilogramów. Za życia zwierzątko to musiało ważyć około 40 tonn. Sama szyja jego miała długości 9 metrów, ogon zaś 18 metrów. Jama brzuszna miała 10 metrów długości, a szeroką była na 5 m. 30 cm. Wogóle rodzinka ta odznaczała się okazami dochodzącymi do rozmiarów kolosalnych. I tak Mosasaurus dochodził do 15 metrów długości, Claosaurus anecteus do 10 metrów.

Tu mowę profesora przerwał donośny ryk, dochodzący z dołu. Spojrzeli tam wszyscy i oczom ich przedstawił się następujący widok.

Na szyi jednego z tych potężnych potworów siedziało zwierzątko, niewieksze od szakala i trzymając się ostrymi pazurami skóry, przednimi łapami szarpało i rwało oczy i czaszkę potwora.

Przy olbrzymie tym zwierzątko to sprawiało wrażenie takie, jakie przy słoniu wywołać może mysz.

Napróżno bronił się brontosaurus, napróżno starał pozbyć się przeciwnika, zwierzątko trzy-

mało się mocno szyi, starając najwidoczniej dostać się do mózgu.

Wszystko drżało wokół od strasznej walki, drzewa waliły się na ziemię, a ziemia, wyrwana potężnymi łapami brontosaurusa, tworzyła nad nim rodzaj chmury.

A zwierzątko nie ustępowało ani na chwilę. Wytrwale szarpało pazurami czaszkę olbrzyma, a gdy wreszcie dostało się do mózgu, przytuliło do niego pyszczek i chciwie wyjadać go poczęło.

Brontosaurus wydał ostatni krótki ryk, zachwiał się na nogach i wyrzucając daleko ziemię nogami, runął.

Drobniutka istota, o rozwiniętym znacznie sprycie pokonała olbrzyma.

Inne brontosaurusy w czasie tej walki stały w miejscu, przypatrując się tym zapasom. A gdy wreszcie towarzyszy ich, pokonany, runął na ziemię, zawróciły i śpiesznie zaczęły uciekać.

Zwierzątko tymczasem, nasyciwszy się mózgiem pokonanego przeciwnika, ostrożnie pomknęło dalej, ginąc w pobliskim lesie, a na łące pozostało olbrzymie, jak pagórek, cielsko zwyciężonego potwora.

Niedługo jednak leżało spokojnie... W jednej prawie chwili zbiegły się gromady ptactwa i zwierzątek czworonożnych, szarpać je poczęły i rwać na kawalki.

Po trzech godzinach czasu na polu białą

już tylko olbrzymie, oczyszczone zupełnie z mięsa, kości potwora.

Nasi podróżni przyglądali się tej walce przez czas pewien, wreszcie prof. Narbutt zauważył:

— To jest życie... Zawsze w niem jednośćka słabsza fizycznie, lecz o silnie rozwiniętej inteligencji pokonywa osobnika znacznie silniejszego od siebie fizycznie, lecz za to o słabej bardzo inteligencji.

— Lecz co to za zwierzątko? — zapytała panna Marynia.

— O ile z niektórych cech wnioskować mogę, należy ono do gatunków pierwotnych ssaków. Nie mogę twierdzić stanowczo, ale zdaje mi się, iż jest to Anaptomorphus homunculus, należący do rodzaju lemurów. Według niektórych uczonych ma on być protoplastą człowieka. Przynajmniej budowa anatomiczna czaszki jego, oraz uzębienie, bardzo są podobne do ludzkich.

Przez ten czas «Orzeł» płynął dalej w przestworzach ponad wyspą. Wśród gąszczy leśnej lub też zarosłych bujną trawą łąk przesuwały się liczne okazy różnego rodzaju zwierząt, należących do gatunku gadów, ptaków i ssaków.

Znacznej większości ich profesor Narbutt nawet nie znał, gdyż zaginęły zupełnie w pomroce wieków z powierzchni ziemi.

— Smok!.. smok!.. — zawołała naraz panna

Marynia, wskazując na pełznącego dołem olbrzymiego potwora z długim bardzo, zaopatrzonym jakby w skrzydle ogonem z grzbietem, z rozpiętymi na nim w kształcie skrzydeł błonami, oraz z łbem podobnym do łba kaczego, długim prawie na dwa łokcie. Proporcjonalną była do tego długość i szerokość potwora, wysokość zaś równą była wysokości ignanodonta.

Pełząc tak po ziemi z rozpostartymi nad grzbietem w kształcie skrzydeł skrzelami, sprawiał zupełne wrażenie smoka, nic też dziwnego, że taki okrzyk wydarł się z ust Maryni.

— To też jest jeden z przedstawicieli szlachetnej rodziny Dinosaurusów, a nazywa się Dicotonius mirabilis. Osobnik ten odznacza się tem, że w paszczy swej posiada ni mniej, ni więcej, tylko 2072 zęby.

— No, nie radziłbym nikomu dostać się w ząbki takiemu okazowi — ze śmiechem zauważył pan Boniecki.

— Przynajmniej nie mógłby on powiedzieć, że miał jedzenie tylko na jeden ząbek — odrzekł Jerlicz — gdyż wobec takiej ich obfitości musi mieć je bardzo drobne.

Tak rozmawiając, znaleźli się nad brzegiem morza.

Tam w oddali ujrzeli stojące szeregiem, jakby jakieś wojsko w białych mundurach.

— Cóż to? — zauważył Stańczak — czyżbyż mieszkańcy bieguna używali tu kąpieli morskich?

— Nie — odrzekł mu profesor, gdy zbliżyli się więcej do brzegu — lecz jest to prototyp pingwinów, które stoją podobnie na brzegach Szpicbergu, Islandji i innych wysp północy. «Hesperornis regalis—jak go nazywają uczeni paleontolodzy, który ma wysokości prawie że półtora metra, stanowi właśnie formę przejściową od płazów do ptaków.

Naraz fale morskie rozstały się, wytryskując w dwóch słupach do góry i na powierzchni morza ukazała się olbrzymia ryba-potwór, o skrzelałach potężnie rozwiniętych i przebiegłszy w powietrzu pewną przestrzeń, zapadła dalej w fale morskie.

— To Ichtyosaurus! — zawołał z uniesieniem profesor—Ichtyosaurus przedpotopowy.

Lecz nie mógł długo trwać w tej kontemplacji, gdyż po chwili Stańczak zawołał donośnym głosem:

— Wąż morski przed nami!..

Posłyszawszy nazwisko tego legendarnego potwora, porwali się wszyscy z miejsc, z wzrokiem utkwionym w błyszczącą od promieni słonecznych powierzchnię morza.

Rzeczywiście.. To nie złuda.. to nie omamienie!

Przed nimi w odległości kilkunastu metrów zaledwie, wśród zielonkawych fal morza prze-walało się potężne, długości około 200 metrów

cielsko jakiegoś potwora o głowie śpiczastej, wązkiej.

Wijąc się w mnogich skrętach, płynął on naprzód, od czasu do czasu podnosząc do góry swój łeb, wypatrując przed sobą zdobyczy.

Wyglądał imponująco. Widok jego w zupełności zdawał się stwierdzać legendę o tem, że zdolen jest on obwinąć skrętami swymi okręt znacznej wielkości i wciągnąć go w głębie morskie.

— To Mosasaurus, olbrzymi gad, który niegdyś, przed wiekami, krążył po morzach. Dzięki jemu właśnie powstała ta legenda o olbrzymim wężu morskim.

I znów z morza podniosło się całe stado ryb, zaopatrzonych w skrzele, jak ptaki.

Mosasaurus rzucił się na nie, jak kot na zdobycz i porwawszy parę, połknął, jak muchy, poczem zanurzył się w głębiach morskich.

Zbliżając się do brzegu, ujrzeli wygrzewające się na piasku olbrzymie żółwie, skorupa których przewyższała długość 4 metrów.

Zawrócili znów na ląd, poszukując miejsca, gdzieby zatrzymać się mogli.

Znów podążać zaczęli nad lasami, z których porwały się wielkie, większe od największych jaszczurki z rozpiętymi między przednimi i tylnymi nogami błonami, jak nietoperze; potworne, straszne, obrzydłe, krążyć wokoło «Orla» zaczęły, uderzając się o szklane ścianki jego.

Okrzyk wstrętu wyrwał się z ust panny Maryni na ten widok.

— Niech się pani nie lęka — rzekł spokojnie profesor — to protoplaści naszych nietoperzy i ptaków, olbrzymie jaszczurki latające, nazywane w paleontologii Pterodaktylami. Unoszą się one w powietrzu dlatego, że kości ich są cienkie jak papier i puste wewnątrz. W chwili odpoczynku zwijają błony swoje i zawieszają się na gałęziach drzew za pomocą pazurów, w jakie zaopatrzone są ich palce.

Podobny sposób odpoczynku mają i obecnie olbrzymie nietoperze z krain południowych.

— Na miłość boską, profesorze — zawołał pan Boniecki — powiedz nam, co to wszystko znaczy? Jakim sposobem na tak odległej północy, odcięte od świata całego znalazły się istoty, które od wieków całych uważane są za zaginione, i o których sądzić możemy tylko z szczupłych resztek, jakie w głębi ziemi od czasu do czasu znaleźć się udaje?

— Łaskawy panie — odrzekł poważnym tonem profesor — w nauce tyle jest zagadek, tyle jest tajemnic, o rozwiązanie których umysł ludzki od wieków całych napróżno się trzyma, że wyliczać ich tutaj nie sposób. Zastępuje się też je hipotezami, które, być może, przyszość rozwiąże. Do rzędu tych hipotez zaliczyć należy i te wszystkie dziwy, jakie tu, na najskrajniejszej północy widzimy.

Przedewszystkiem pomnieć winniśmy, że oś ziemską na każdym z biegunów krótszą jest o trzy mile od takiejże osi na równiku. Na biegunach też kula ziemską jest jakby ściętą, a promień tego ścięcia równa się 22 i pół kilometrów i z samej natury rzeczy zamiast zaokrąglenia ziemia jest tam płaska.

Ciepło, jakie tu znajdujemy, według hipotezy mojej przypisać należy po 1) temu, że promienie słoneczne, wobec tego ścięcia, nie padają z ukosa, a wprost, przez co dają więcej ciepła; po 2) temu, że przepływają około tej wyspy owe ciepłe prądy morskie, o których wspominają podróżnicy, iż przy badaniach swych znajdowali je zawsze na pewnej głębokości; po 3) temu, iż znajduje się na wyspie tej wulkan, a więc ciepło czerpane jest również i z wewnątrz ziemi.

Ale to są hipotezy, które dopiero przez długie badania sprawdzićby można.

Co do tego, iż na wyspie tej znajdują się wszystkie zwierzęta i rośliny, o których wiemy, że są zaginione, stawiam swoją własną hipotezę, a mianowicie:

Wiadomo wszystkim, iż w czasie olbrzymich kataklizmów i przewrotów, jakie kula ziemską w przeciągu wieków przechodziła, zamieszkujące je stworzenia odbywały ciągle wędrówki, parte do tego warunkami klimatycznymi, w jakich się znajdowały.

Przytem wędrówki te odbywały się poważnie na północ, czego dowodem służyć może odnajdywanie całkowitych, znakomicie zachowanych, pomimo tylu tysięcy lat, mamutów w lodach Sybiru; szczątki brontosaurusów i innych olbrzymów w formacjach ziemnych Ameryki północnej i t. p.

Mojem więc zdaniem wyspa ta, na której znaleźli schronienie owi przedstawiciele świata pierwotnego, dzięki swym wyjątkowym warunkom klimatycznym, stała się dla ich rozwoju jedynym terenem. Osiadły więc na niej a odcięte przez morze i lodowce od świata całego, żyły tu sobie spokojnie do czasu, dopóki my zjawieniem się naszym im go nie zakłóciliśmy.

Lecz i w tym wypadku, prawdopodobność tej hipotezy musi uleść szczegółowemu i ścisłemu zbadaniu i sprawdzeniu.

Ze zdaniem profesora zgodzili się wszyscy.

Znużeni przejściami dnia całego, uczuwali bardzo potrzebę spoczynku i posiłku.

Zatrzymał więc Jerlicz «Orla» niedaleko od powierzchni ziemi i po posileniu, położyli się wszyscy spać, z wyjątkiem Stańczaka, który pozostał na straży.

Następnie miał go zmienić pan Boniecki, którego znów zastąpić miał Jerlicz.

XVI.

Niespodziewane spotkanie.

Spoczynek nie był długim. Po pięciu godzinach snu wszyscy już byli na nogach, szykując się do dalszej podróży.

— Co się dzieje z «Sokołem»?—zapytał pan Boniecki.

— Krąży pewnie w sferach podniebnych—odrzekł Jerlicz.

— Nieszczęśliwi, zginęli dla wiedzy i nauki—dodał prof. Narbutt, wspomniawszy na smutny los Peńskiego i Majewskiego.

— Tak jest, zginęli dla wiedzy, lecz śmierć ich pomszczoną zostanie. Po powrocie do kraju nieomieszkamy jak najszerzej rozgłosić wiadomości o zbrodniczym czynie Prusaków. Ludzkość odpowiednio napiętnuje ich za czyn tak haniebny!

Wspomnienie towarzyszy podróży i przyjaciół, którzy w tak tragiczny i zdradziecki zginęli sposób, wywołał wśród zebranych nader smutny nastrój.

Ażeby rozpedzić go, pan Boniecki zaproponował:

— Moi panowie... Czas niedługo będzie powracać do «Polonji» i do kraju. Wobec tego proponuję, byśmy na chwilę znizyli lot «Orla»,

wysiedli na ląd i zabrali co się do okazów zarówno z fauny jak i z flory.

— Bardzo dobrze — przytwardził Stańczak — do wieczora zajmiemy się tem. Potem nastąpi powrót. A gdy znajdziemy się na «Polonji», ja podążę z «Orłem» dalej.

— Gdzie? — zapytał ze zdziwieniem pan Boniecki.

— W ślad za «Sokołem»... Szukać go w przestworzach, by pomścić śmierć Peńskiego i Majewskiego i zarazem, ażeby nie dopuścić, by «Sokół» dostał się w ręce Prusaków, by nie mogli go oni użyć dla swoich celów.

— Ja z panem — rzekł Jerlicz — i ja muszę pomścić się na nich, nie mogę pozwolić, by korzystali oni z pracy mej, z mojego wynalazku.

Przyznano im słusność.

Na owe poszukiwania wyruszyć mieli pan Boniecki, Stańczak i profesor Narbutt

Jerlicz z Marynią pozostać miał przy «Orle».

Lecz ta zarzuciła ojcu rękę na ramię i z prośbą w głosie, rzekła:

— Ojczulku, wszakżeż pod opieką twoją, oraz pana profesora i pana Stańczaka nic mi się nie stanie... Pozwól mi iść z wami, proszę cię bardzo!

— Ależ, moje dziecko — zawołał pan Boniecki — wyprawa to bardzo niebezpieczna,

to niemożliwe! Nuz spotkamy tam jakiego potwora?

— Naprzykład takiego, jak ten brontosaurus wczorajszy — wtrącił się do rozmowy profesor.

— No to cóż? — zuchowato odrzekła panna Marynia — wpakuję mu kulę w oko, tak jak pan Stańczak ignanodontowi i wszystko będzie dobrze. Alboż to nie umiem strzelać? Oho, nie napróżno ojczulek mnie uczył.

I tak błagała ojca, że wreszcie w końcu, rad nie rad, ustąpić musiał jedynaczce i na prośbę jej przystać.

Uradowana porwała swój niewielki karabinek magazynowy, przewiesiła go przez ramię, czapeczkę zuchowato przechyliła na bakier i po drabince sznurowej szybko w dół schodzić zaczęła.

Za nią podążyli śpiesznie pan Boniecki z profesorem i Stańczakiem, uzbrojeni również w karabiny eksplodujące.

Przed rozstaniem z Jerliczem porozumieli się z nim, iż krążyć będzie stale na wysokości 10 metrów nad powierzchnią polanki, przyczem co parę minut dawać miał sygnał trąbką, ażeby w powrotnej drodze nie zbłądzili.

Śmiało zapuścili się w głąb boru, przyczem profesor zbierał do puszek liście, gałązki i korę drzew i krzewów, rosnących po drodze.

Botanizował z zapalem, cały pochłonięty

myślą, jakim to dziełem z bogaci naukę po powrocie swym do kraju.

— Nie, wiecie państwo — mówił porwany zapalem i miłością do nauki — musicie mnie tu pozostawić. Osiądę tu gdzie w dziupli i robić będę spostrzeżenia. Po roku powrócicie po mnie i zabierzecie mnie ze sobą.

— Tak — rzekł pan Boniecki — o ileby z profesora te brontosaurusy, pterodaktyle, dinosaurusy i inne potwory pozostawiły choć najmniejszy szczątek!

A na to odezwał się milczący dotychczas Stańczak:

— Profesorze. Gdy tylko uda mi się wydrzeć «Sokoła» z rąk Prusaków, zbierzemy grono ludzi prawdziwej nauki i wiedzy, i przyjedziemy tu powtórnie, ażeby robić badania i prowadzić doświadczenia. Zbogacimy wtedy naukę znakomicie, a przytem żaden z nas na niebezpieczeństwo na tej «Nowej Polsce» narażonym nie będzie.

Słowa jego przerwał huk jakiś głuchy, jakby odgłos dalekiego wystrzału.

— Co to jest? — spytał pan Boniecki — kto to strzela?

— To nie Jerlicz — dodał Stańczak — zresztą strzały słycać w zupełnie przeciwnej stronie.

Stanęli, nasłuchując, a gdy po jakimś czasie strzały powtórzyły się, Stańczak porwany gniewem, zawołał:

— To Prusacy! To ci zbrodniarze!.. Wiadać udało im się odnaleźć sekret maszyny «Sokoła» opuścili się tutaj, i teraz polują! Ha, lotry! Pomszczę teraz krwawo na was śmierć przyjaciół!

I opanowany szałem, pomknął pędem w stronę, z której dobiegał odgłos strzałów.

Za nim śpiesznie podążyli towarzysze jego.

Przedzierali się przez krzaki paproci, przez gęstą trawę, rosnącą u stóp olbrzymich drzew widłakowych. Nie zważali na pierzchające przed nimi stada gadów, ptaków pierwotnych i małych ssaków. Nic nie było zdolne powstrzymać ich w tym porywie i pragnieniu zemsty na zbrodniarzach!

Zbliżali się coraz bardziej do miejsca, z którego dobiegał do nich odgłos strzałów. Dawały się one słyszeć już pojedynczo, a przytem dochodził do uszu ich jakby hałas toczzonej zwycięskiej walki.

Dobiegli wreszcie.

Ukrytym za potężnym widłakowcem przedstawił się widok następujący:

Olbrzymi, potwornej niemal wielkości mastodont, walczył z niemniej potężnym nosorożcem, który starał się wielkim kłem swoim rozdrzeć mu skórę na brzuchu.

Ziemia się trzęsła od tupotu potężnych nóg tych potworów. Drzewa wyrwane z korzenia-

mi z ziemi zaścielały całą polankę, a powietrze drżało od ryku walczących potworów.

Podróźni nasi z przytąjonym w piersi oddechem wpatrywali się w walczące z sobą olbrzymy. Zrozumieli dobrze, że najważniejsze dla nich będzie pozbycie się ich.

Jak na komendę, pan Boniecki i Stańczak wymierzili do łba potężnego mastodonta i wystrzelili.

Kule wybuchające utkwily mu w ciele, olbrzym zakręcił się z bólu, zaryczał głucho i gdy rozległ się trzask wybuchających kul, runął na ziemię. Lecz po chwili porwał się znów i rzucił się na przeciwnika.

Dopiero nowa salwa kul powaliła go trupem.

Nosorożec stanął nieruchomo, jakby zdumiony tą piorunującą śmiercią przeciwnika. Podszedł wreszcie do niego, pchnął rogiem, a widząc, że się nie rusza, obwąchiwać go począł, poczem węszyć zaczął wokoło, wydając głuchy, przytłumiony ryk.

Mógł się stać groźnym dla naszych podróźnych, gdyby odnalazł ich kryjówkę.

Wtem rozległ się znów huk strzału. Kula z świstem przebiegła przez polankę i utkwivszy w krwią nabiegłym oku nosorożca z głuchym trzaskiem wybuchła.

Krótki ryk i potwór, zakręciwszy się w miejscu, runął martwy na ziemię.

Stańczak z panem Bonieckim obejrzeni się. Z karabinka panny Maryni szedł jeszcze dym, a ona sama stała zarumieniona, z płonącymi oczami.

Jej to strzał powalił potwora...

— Znakomicie, moje dziecko! — zawołał pan Boniecki, porywając córkę w objęcia i tuląc ją do piersi.

— A mówiłam tatusiowi!.. a mówiłam!.. — powtarzała zaploniona — oho, umiem strzelać! przecież to tatuś mnie uczył!

Skierowali się w stronę powalonych olbrzymów, przy których profesor, wyglądający jak mucha, robił pomiary.

Nagle gdy z gąszczy leśnej wychylił się na polankę, rozległ się donośny głos:

— Brawo!.. brawo!.. tak mistrzowskich strzałów dawno już nie widziałem!

Jednocześnie prawie z stojącego tuż obok widłakowca spuścił się na ziemię — Peński.

Stańczak stał, jak wryty, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Peński!.. — wybąkał wreszcie — Peński... tu... ty żyjesz?..

— A cóż to, myślisz, że to duch mój? — spytał go ze śmiechem Peński.

— A co z «Sokołem?» co z Prusakami? — pytał dalej Stańczak.

— I «Sokół» i Prusacy są tam, na polance, pod strażą Majewskiego.

Połączyli się z pozostałymi, przyczem wszyscy okazali nieklamana radość z tego, że widzą Peńskiego zdrowym i całym.

Opowiedział im pokrótce wszystkie przygody swoje i «Sokoła».

Oto po pokonaniu jego i Majewskiego przez Prusaków, leżeli nieprzytomni, nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Po pewnym dopiero czasie ocknęli się z omdlenia i byli świadkami bezowocnych usiłowań Prusaków opuszczenia się na ziemię.

— Zrozumiałem zaraz — mówił Peński — o co im idzie... a że ja tylko jeden znałem sekret maszyny, więc byłem zupełnie pewien, że nigdy odgadnąć go nie zdołają.. Śmiałem się też w głębi ducha z ich wysiłków, z tego ciągłego jeżdżenia tam i z powrotem, we wszystkie strony świata, bez najmniejszej nadziei wyładowania. Nie mogłem wreszcie powstrzymać się i parsknąłem głośnym śmiechem.

Irytowało ich to niezmiernie, i grozić mi zaczęli różnemi mękami, byłem tylko wyjawil im sekret. Pozostałem nieugięty.

— Możecie mnie zabić — mówiłem — a nigdy nie dowiecie się tego!

Widząc, że pogrózkami nic ode mnie nie wskórają, zmienili ton i zaczęli obiecywać mi sowite nagrody, byłem tylko uczynił zadość ich żądaniu.

— Niedoczekanie wasze — odrzekłem — zginiemy sobie razem, tu w wyżynach... Bliżej dusze nasze będą miały do nieba, a «Sokół» nasz, jak nowa gwiazda, krążyć będzie wiecznie w przestworzach, unosząc z sobą ciała nasze...

Przekonali się, że i w ten sposób ze mną nie poradzą. Zaczęli więc znów z innego tonu. Błagać poczęli, bym ulitował się nad nimi, bym ich nie gubił, bym uratował ich od zagłady i od mąk głodowych.

Wtedy dopiero, widząc, że jestem panem sytuacji, dyktowałem im zacząłem warunki moje.

— Dobrze — mówię — przystaję na to, ale pod następującymi warunkami: po 1-sze rozwiążecie nam ręce i nogi, jednym słowem, przywróćcie swobodę ruchów; po 2-ie my wam zwiążemy ręce i nogi, ażebyście po zdobyciu sekretu po raz wtóry nie postąpili z nami w tak łotrowski sposób; po 3-cie po przybyciu do kraju staniecie przed sądem za czyn swój.

Wahali się Prusaczkowie, nie podobały się im warunki nasze, ale cóż robić... «Sokół» jeździł w przestworzach tam i z powrotem w miarę przekręcenia rączki, a opaść na ziemię ani myślał... Widmo śmierci głodowej zaglądało im w ślepie... Cóż więc robić?... Lepsza hańba, ich zdaniem, niż śmierć w mękach!

Próbowali utargować cośkolwiek z warun-

ków moich, lecz byłem jak głaz... Radzi nie radzi przystali na nie w końcu.

Trzeba było widzieć ich miny, gdy przecinali nam więzy, a potem wyciągali łapy swe, ażebyśmy znów im je powiązali... Paradne to było!...

Powiązaliśmy ich rzetelnie, układając w porządku obok siebie, a sami do maszyny... Dość czasu upłynęło, zanim zorjentowałem się w położeniu, i prosto skierowałem się w stronę tej wyspy, którą w czasie przelotu naszego nad nią zauważyłem. Byłem pewien, że znajdę tu «Orla».

Właśnie dziś rano zatrzymaliśmy się tu, i zaledwie wysiadłem z «Sokoła», by rozejrzeć się w okolicy, gdy natrafiłem na walkę tych dwóch potwornych bestji... Nie chcąc narażać się na szwank podczas walki, wlałem na jedno z tych drzew, skąd cały teren walki widziałem znakomicie.

Chcąc trochę ostudzić ich zapaly, posłałem im parę kulek z karabina, ale cóż, kiedy te bestje mają skórę tak grubą, że kule jak nic od niej odskakują...

Nie wiem, coby się ze mną stało, gdybyście państwo nie nadciągnęli i nie uspokoili tych potworów... Jeszcze raz też wyrażam podziw swój dla celności strzałów.

Tak rozmawiając, podeszli do stojącego na polance leśnej «Sokoła».

Majewski, stojąc w drzwiczkach, przywitał ich uradowany.

— A cóż tam Prusaczkowie?... — zapytał go Peński.

— Ano nic... leżą sobie spokojnie, i ani słówka nie pisną — odrzekł zapytany.

Weszli do wnętrza i pan Boniecki z towarzyszami swymi zbliżył się do leżących na podłodze, powiązanych sznurami profesorów.

— Tak odwdzięczyliście się, panowie — rzekł gniewnie — nam za to, cośmy dla was zrobili? Czyż to godnem jest niemieckich uczonych i profesorów — stawać się rozbójnikami i celem owładnięcia aeroplanem mordować ludzi? Czy to w waszej krainie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów uważanem jest za rzecz zwykłą?

Zagadnięci w ten sposób profesorowie, nic nie odrzekli, tylko pełen bezsilnej wściekłości i nienawiści wzrok utkwili w postaci mówiącego.

A Boniecki ciągnął dalej:

— Zbrodnia wasza nie może pozostać bez kary. Wybierajcie jedno z dwojga: albo pozostawimy was tu, na tej wyspie bezludnej, na pastwę losu, lub też zawieziemy was do kraju, i tam, hańbą za czyn wasz okrytych, stawimy przed sądem, by wam karę za zbrodnię waszą wymierzył.

Chwilę trwało milczenie, wreszcie profesor Meier z trudem wykrztusił:

— Wolimy wracać... do kraju... i tam... stanąć przed sądem...

— Bardzo dobrze — rzekł Boniecki — lecz przedtem musicie mi podpisać szczegółowe przyznanie się do zbrodni. Oho, znam ja was, i wiem, żebyście potem robili z siebie ofiary intrygi polskiej i starali się uniewinnić!

Plomień nienawiści ukazał się w oczach Prusaków, lecz radzi nie radzi musieli przystać na ten warunek.

Wnet też z polecenia pana Bonieckiego Majewski spisał szczegółowy protokół całego zajścia, pod którym wszyscy trzej Prusacy musieli się podpisać.

Prosił potem o przywrócenie im wolności, lecz taką na to usłyszeli odpowiedź:

— O nie, moi panowie! Tego nie uczynię, gdyż wiem dobrze, na co wy użyć tę wolność potraficie, a mamy zbyt słabe siły, by was ciągle pilnować!

Odzyskacie wolność, i owszem, ale na pokładzie «Polonji», gdzie będą dostateczne siły dla pilnowania was. A teraz, darujcie, lecz więzy na rękach i nogach waszych muszą pozostać.

I nie zwracając już najmniejszej uwagi na pełne wściekłego gniewu spojrzenia oraz klątwy Prusaków, skierował się do towarzyszy.

Chwilę trwała narada nad tem, co robić, aż wreszcie przemógł głos Stańczaka:

— Myślę — mówił on — że najlepiej będzie podążyć «Sokołem» w stronę «Orla». Po połączeniu się naszym, jeden z pośród nas będzie mógł pilnować obydwóch aparatów, oraz więźniów, podczas gdy pozostali udadzą się na ekskursję... Będzie to znacznie bezpieczniejsze, a zarazem wyda większe wyniki.

Projekt ten przyjęto aprobatą i wszyscy, wsiadłszy do «Sokoła», prowadzonego przez Stańczaka, pomknęli w stronę «Orla».

Zdaleka już posłyszeli odgłosy trąbki, któremi dawał znaki o sobie Jerlicz.

Trudno opisać radość tegoż, gdy zobaczył «Sokoła»... Z jakimś szalem poprostu rzucił się na szyję Peńskiemu i Majewskiemu, ścisnąc ich i całując, po wielokroć domagając się, ażeby opowiedzieli mu cały przebieg swych przygód.

Z nienawiścią patrzył na Prusaków i mrużąc coś przez zęby, wielokrotnie groził im pięścią.

Wychylono parę butelek wina na cześć powrotu «Sokoła», pokrzepiono siły i wreszcie profesor Narbutt rzekł:

— No, ale teraz byłby czas już wyruszyć znowu w drogę, celem zebrania okazów.

To przypomnienie profesora odniosło skutek, a gdy wyloniła się kwestja, kto ma zostać

dla pilnowania aeroplanów i Prusaków, Jerlicz zawołał:

— Ja pozostanę na straży. Już ich dopilnuję. Nie ujdą mi oni!

I groźnie potrząsał olbrzymim rewolwerem.

Pozostawiono go więc na straży i wszyscy wyruszyli na wycieczkę w głąb olbrzymich lasów widłakowych.

Przez drogę Słańczak wtajemniczał Peńskiego i Majewskiego we wszystko, co przez czas ich nieobecności zaszło.

Śluchali go ze zdumieniem, połączonem z niedowierzaniem. Dopiero, gdy ujrzeli w oddali dążące stada olbrzymich brontosaurusów, gdy przemknął przed nimi wielki Pterodaktyl, powalony celną kulią panny Maryni -- uwierzyli.

Prof. Narbutt skrupulatnie badał wszystko, coraz nowym okazem wzbogacając swe zbiory.

Wzdychał tylko ze smutkiem, że nie może zabrać z sobą Iguanodonta, lub innego olbrzymiego potwora, których tylu widzieli.

Naraz zatrzymał się około jednego z drzew, z którego płynęła obficie jakaś żywica.

Odłamał jej kawałek, powąchał, i podając towarzyszom, rzekł krótko:

— Bursztyn!...

Wokoło drzew tych widoczne były grube pokłady tegoż.

— Bogactwa tu są!... bogactwa!... — westchnął profesor.

W dalszym ciągu swej wycieczki napotkali na olbrzymiego żółwia, długości co najmniej dziesięciu lokci.

Zabili go paroma wystrzałami.

— Tarczę zabierzemy, gdy będziemy przelatywać tędy aeroplanami.

Gdy tak stali zgromadzeni wokoło żółwia, naraz z rosnącego tuż obok drzewa skoczyło na pana Bonieckiego jakieś zwierzę, wielkości pantery, i ostrymi pazurami szarpać poczęło skórzany kaftan, w jaki był ubrany.

Struchleli narazie wszyscy na ten widok, i Bóg wie, co by się stało, gdyby Stańczak z nożem myśliwskim w ręku nie był rzucił się na owo zwierzę.

Jeden cios potężny i zwierzę padło na ziemię, wijąc się w skórczach przedśmiertnych.

— No, przyszedłeś w porę — zawołał Boniecki, ściskając rękę Stańczaka — żeby jeszcze chwilkę, byłaby mnie ta bestja poszarpała porządnie.

— Ale ojculkowi krew płynie z głowy! — zawołała w przerażeniu panna Marynia.

— To głupstwo, zadrapał mnie tylko pazurem — odrzekł.

Opatrzono rany, które były zwykłemi zadrapaniami, ale gdy zrucono myśl, ażeby wracać do aeroplanów, pan Boniecki zawołał:

— Ależ nic mi nie jest. Możemy wędrować dalej. Ot, lepiej określ profesorze, do jakiego gatunku należy to zwierzę.

Profesor podniósł nieżywego już drapieżnika, obejrzał go szczegółowo, wreszcie rzekł:

— Ze wszystkich oznak widzę, iż jest to Arctocyon Dueilji, jeden z pierwszych drapieżników na ziemi.

Wyruszono w dalszą drogę.

Wkrótce od kul panny Maryni, Stańczaka i Peńskiego, padło paru jeszcze drapieżców, w których profesor rozpoznał gatunki: Plagiaulax, którego układ kręgowy przypomina kręgi ryb; gruboskórnego, zbliżonego wyglądem do lemura Pleuraspidothierium Amonieri; innego drapieżnika z rodzaju Periptychus arinidens, z uzębieniem zbliżonym do fok.

Padły też od kul ich różne okazy zwierząt kopytowych, przeżuwających. Padł zbliżony wyglądem do świni Phenacodus; padł również i olbrzymi ptak, wysokości prawie trzech metrów, z wyglądu podobny do strusia, a którego profesor nazwał Gastornisem; padły i drobniejsze gatunki z pośród ptaków, jak naprz. Dimorphodon i t. p.

Zdobycz byłaby znacznie obfitszą, gdyby mogli ją zabrać, ale zarówno profesor jak i towarzysze jego, byli zdania, że mordować niewinnych stworzeń dla samej przyjemności zabijania — nie wolno.

Dość późno już było, gdy pan Boniecki zauważył, że czas już wracać do aeroplanów.

Z trudem powstrzymano profesora, który zapędził się w pogoni za jakimś nieznanym owadem z gatunku karaluchowatych.

— Profesorze—zawołał za nim Stańczak—wracamy, już późno.

— Zaraz... zaraz!... — odpowiedział profesor, a w chwilę później do uszu zebranych dobiegł przeraźliwy krzyk jego.

Rzucono się mu na ratunek, i oczom wszystkich przedstawił się przerażający widok.

Oto profesora splotami swymi otoczył olbrzymiej wielkości i grubości wąż i cisnąc go skrętami swymi, z groźnym sykiem zwracał ku niemu swą małą głowę o błyszczących ślepiach.

Chwila była groźną. Parę sekund jeszcze, a profesor zginie, zduszony w skrętach olbrzymiej bestji.

Nie można było się namyślać, gdyż w chwil parę może być zapóźno!..

Nie tracąc więc czasu, poskoczył ku niemu Peński, i przyłożywszy prawie wężowi lufę karabina do łba, wystrzelił.

Leh, roztrzaskany kulą na drobne kawałki, opadł w dół, skręty gada rozluźniły się i opadł on w dół, a profesor runął nieprzytomny na ziemię...

Poskoczyli ku niemu, chcąc przekonać się, czy nie stała mu się krzywda jaka.

Stańczak obmacał go skrupulatnie i po chwili rzekł:

— Nic, zdaje się, niema uszkodzonego. Tylko silne przerażenie, oraz brak tchu spowodowały omdlenie!

Majewski przyniósł wody w olbrzymim liściu, spryskał nią twarz profesora, a gdy po chwili odzyskał przytomność, pierwszym słowem, jakie z ust jego padło, było:

— Gdzie on jest? gdzie?

— Kto taki? — zapytano go z zaniepokojeniem i ciekawością.

— On... Boa, olbrzymi, przedpotopowy boa ze skrzydłami!...

Wskazano mu zabitego węża, a on, chwytając się na nogach, podszedł do wyciągniętej bestji i baczenie przyglądać się jej zaczął.

— Tak... to on... to on... wzrok mnie nie myli... — mruzczał pod nosem — nazwiemy go Boa polarnensis Narbutti.

I całym wysiłkiem słabych swych ramion chciał unieść olbrzymiego gada.

— Co profesor chce robić? — zawołali zdumieni tem towarzysze jego.

— Zabrać go... To nowy rodzaj Boa, o którym nie wspomina żaden z przyrodników, żaden z uczonych. Jam go odkrył, mnie się należy ta chwała!...



...I oczom wszystkich przedstawił się przerażający widok...

— Ależ on waży przeszło 5,000 funtów — odezwał się Stańczak: — połączonemi nawet siłami naszymi nie zdołalibyśmy poruszyć go z miejsca, a nawet i aeroplany nie uniosłyby go do góry.

— A więc zabierzemy choć skórę jego — z trudem wyrzekł profesor. — Niech choć nią poszczycę się wobec świata.

Zdarto więc z potężnego węża skórę, którą z trudem nieśli Majewski z Peńskim.

Nie mogąc udźwignąć z sobą wszystkiej zabitej zwierzyny, złożono znaczną część jej przy żółwiu, zwanym Kollosechelys, okryto szczelnie gałęziami i przyrzucano gałęziami, ażeby włóczący się po lesie drapieżcy nie rozszarpali ich.

Z trudem niosąc swą zdobycz, dotarli do «Orla» i «Sokoła», gdzie już Jerlicz, pełen niepokojem, co chwila prawie dawał sygnały trąbką, wyglądając ich ukazania się.

Znużeni i wyczerpani długim i męczącym pochodem, z apetytem zasiedli do wieczerzy, po ukończeniu której rzekł Peński, zwracając się do profesora:

— Panie profesorze... proszę, powiedz mi, czy ziemia wyspy tej byłaby zdolną do przyjęcia roślin europejskich, roślin, wydających owoce? Czy na łąkach jej, po za temi olbrzymiemi brontosaurusami i mastodontami, mogłyby się paść nasze poczciwe koniki i bydłatka?

Profesor spojrział na niego ze zdziwieniem i odrzekł:

— Mogłyby... Ziemia ta jest tak żyzną, że mogłaby wydać plon obfity bardzo... Lecz w jakim celu pyta pan o to?

— W jakim celu?... — powtórzył Peński — a toż wobec żyzności swej i urodzajności, ziemia ta wspaniale nadawałaby się do kolonizacji. Człowiek, ta istota, która powstała dopiero po zamieszkujących tę wyspę potworach, mógłby osiąść tu, i zmusić ziemię do dawania plonów. Ujarzmić te potwory i zmusić je do służenia sobie. Ha... ha... ha.. jakież by to był paradny widok, gdyby tak brontosaurus zaprządz do pługa lub wozu, i zmusić do pracy. Żeby wiedział jak, tobym zabrał z sobą którego z tych malutkich potworków i okazałbym go tej starej, strupieszalej ziemi, jakich to dawniej lokatorów miała. Wyobrażam sobie, jakieby to wrażenie wywołało naprzykład w Warszawie, gdybyśmy się tak ukazali w powietrzu naszymi aeroplanami, prowadząc za sobą na sznureczku takiego brontosaurus, iguanodonta, dinosaurusa lub innego potwora. Można by majątek zrobić za same bilety wejścia! Ludziska-by z podziwu oniemieli

— Tak — wtrącił Stańczak — tylko zapominaś o tem, jakie musiałbyś dla nich klatki zbudować, i że musiałbyś prowadzić je piecho-

tą, gdyż żaden pociąg kolejowy nie uniósłby ich.

— I, to głupstwo... Ale byłaby sensacja pierwszorzędną!

— Tak, zwłaszcza, gdyby taki sympatyczny brontosauerek machnął ogonkiem i parę domów w Warszawie w gruzy położył!

Nie przekonało to jednak Peńskiego, który niepowstrzymany w swej fantazji, znów mówił:

— Albo byłoby znakomicie ująć takiego młodego mastodonta, oswoić go i wytresować. Miałaby pani, panno Marjo, znakomitego z niego wierzchowca.

— Dziękuję panu za takiego wierzchowca — ze śmiechem odrzekła — z grzbietu którego musiałabym wysiadać chyba na dach naszego domu.

Lecz pan Boniecki przywołał ich do spokoju, mówiąc:

— Moi panowie. Dziś jeszcze musimy opuścić tę cudną wyspę, gdyż czas określony na oczekiwanie już mija, a i tak straciliśmy go dosyć przez Prusaków. Idzie mi o to, czy wyniki naszej wyprawy ogłosić światu, czy podać je do ogólnej wiadomości, czy też zachować je w tajemnicy, nie dzieląc się nią z nikim?

Słowa jego niezwykle wywołały nadzwyczajne zdziwienie wśród zebranych.

Co to ma znaczyć? Dlaczego robić tajemnicę z tak świetnych wyników wyprawy?

— Niech was to nie dziwi — rzekł pan Boniecki po chwili tonem wyjaśnienia — że stawiam podobne pytanie, lecz gdy na widok tego spokoju i ciszy, panujących na tej wyspie, pomyślę, że zjawi się tu człowiek, który spokój ten zmać, zwierzęta wymorduje, lasy wytrzebi, a całą tę cudną wyspę zamieni w wielki warsztat pracy, z kominami fabrycznymi, z niebem, zasnutem chmurą dymu, to przejmuję mnie takie jakieś dziwne uczucie, że aż chwilami żal mi, żeśmy tu dotarli. Radbym się wrócić. I dla tego stawiam to pytanie.

Przez długą chwilę wszyscy zebrani namyślali się nad odpowiedzią. Wreszcie profesor pierwszy odrzekł:

— W zupełności przechylam się do zdania pańskiego. Żal wielki, by tak cudna wyspa dostała się w ręce ludzi, którzy wniosą na nią zamęt i zniszczenie. Lecz dla dobra nauki, dla dobra wiedzy ogłoszone być winny wyniki naszej wyprawy, gdyż przyczynić się one mogą do wyjaśnienia wielu braków i niepewności.

— A twoje zdanie? — spytał pan Boniecki Stańczaka.

— Przychylam się do zdania profesora — orzekł tenże.

— A panowie? — zapytał dalej pan Boniecki pozostałych towarzyszy podróży.

— My również jesteśmy tego samego zdania — odrzekli wszyscy trzej, a Peński dodał:

— Nawet niemożliwym byłoby utrzymanie tajemnicy wobec naszych więźniów, których z sobą zabieramy do Europy. Napewno nieomieszkają oni rozgłosić wyników wyprawy, całą zasługę jej przypisując sobie. Ja mam jednak sposób na to, ażeby niepożądane żywioły nie wdarły się na tę wyspę.

— Jaki?...—z zaciekawieniem spytali wszyscy zebrani.

— Bardzo prosty — odparł Peński. — Pan Boniecki, jako organizator i twórca wyprawy, jest właścicielem tej wyspy. Należy zatem od mocarstw, które otaczają biegun, uzyskać urzędowe przyznanie prawa własności i rzecz cała jest w porządku. Dzięki stosunkom i stanowisku pana jestem pewien, że uda się to z łatwością. Komunikację przez lodowce utrzymywać muszą nasze aeroplany, więc i tak nikt inny przedrzeć się nie zdoła, o ile tylko nie zechcemy tego. No, a w razie potrzeby nasz wynalazca poszuka sposobu na ukrócenie zbyt żarliwych apetytów!

— Znakomity pomysł! — zawołali wszyscy a Jerlicz wnet dodał:

— Ja tu zaraz wracam, ażeby przeprowadzić badania nad magnetyzmem ziemi.

— I ja — wtrącił profesor — ażeby zbadać tryb życia wielu roślin i zwierząt, a przez to sprawdzić wszystkie dotychczasowe hipotezy.

— Ja zaś powrócę — rzekł Stańczak — ażeby przekonać się, czy ziemia ta nadaje się do kolonizacji, i czy nie możnaby było skierować tu całej fali emigracyjnej, płynącej dotąd do Stanów Zjednoczonych i Brazylii.

— No, to zabierzcie i mnie z sobą, panowie! — zawołała ze śmiechem panna Marynia — może i ja się tu na co przydam...

— I mnie — dorzucił Majewski.

— A o mnie toście już zupełnie zapomnieli — rzekł pan Boniecki — ale za to, na złość wam, wydam postanowienie tym wszystkim bronto-, dino-, i innym saurom, ażeby was w granice państwa swego nie puszczały.

W «Orle» zapanowała wesołość, na którą z nienawiścią patrzeli zamknięci w «Sokole» Prusacy.

Nikt nie myślał o spoczynku, tak wszyscy byli ożywieni myślą o powrocie.

Zaczęto ładować zdobycz do pustych komór aeroplanów, przyczem profesorom pruskim o mało co oczy nie wyszły na wierzch na widok nieznanych zupełnie gatunków zwierząt i gadów.

— A co — mówił do nich Peński — żal i zdrość wam? Trzeba było w uczciwy postępować sposób, a nie brać się do zbrodni. I wybyście z nami dzielili ten tryumf, i wybyście na własne oczy widzieli te wszystkie dziwy, na które my patrzeliśmy.

Prusacy nic na to nie odpowiadali, lecz zgrzytając ze złości zębami, z nienawiścią odwracali oczy od niego.

Skończono wreszcie lądowanie.

Już, już miały się wznieść aeroplany do góry, gdy naraz Stańczak zawołał:

— Zapomnieliśmy o jednym...

— O czym? — spytano go ze zdziwieniem.

— Zawiadomić z bieguna «Polonję» o wyniku naszej wyprawy.

I przystąpiwszy do aparatu telegrafu bez drutu, zaczął szukać połączenia z «Polonją».

Niedługo czekał. Po pewnym czasie ukazały się iskry, na znak, że połączenie nastąpiło.

Wielkie jednak było zdziwienie wszystkich, gdy na zapytanie:

— Kto mówi?... — otrzymano odpowiedź:

— «Germanja».

Co «Germanja» mogła robić w tamtych stronach? Czyżbyż «Polonji» zdarzyło się nie-szczęście jakie...

Przerwał też Stańczak zaraz połączenie, kierując usiłowania swoje w inną stronę.

Po długich wreszcie usiłowaniach udało mu się uzyskać połączenie z «Polonją».

Pierwszem pytaniem jego było:

«Czy wszystko w porządku?...» na co otrzymał odpowiedź:

«Wszystko w porządku. Tylko prąd i la-

wica lodowa uniosły nas o 3 stopnie na północ i 5 stopni na wschód».

Uspokojony więc co do «Polonji», telegrafował dalej:

Biegun północny — Nowa Polska, dn. 29 maja 19... r. Biegun został odkryty. Mnóstwo dziwów, które dokonają przewrotu w całym świecie naukowym. Wracamy.

A w odpowiedzi telegraf przyniósł im co następuje:

— Wiwat! Niech żyje Nowa Polska! Chwała zwycięzcom. Zaraz telegrafuję o tem do Europy.

Przerwał Stańczak połączenie i rzekł:

— Teraz możemy wracać... Wiemy już, gdzie szukać «Polonji».

XVII.

P o w r ó t.

Ostatnie spojrzenia zegnają ziemię czarownicą. Wzrok przebiega po jej łąkach i lasach, zatrzymuje się na wyniosłym szczycie wulkanu, na którym, tuż obok krateru, ziejącego ogniem i dymem, powiewa dumnie sztandar biało-czerwony — znak tryumfu i zwycięstwa.

Jak olbrzymie ptaki, błyszczące w promie-

niach słońca biegunowego, porwały się z ziemi obydwaj aeroplany.

Porwały się i pomknęły w przestworza, dążąc z powrotem do ziemi ojczystej, by przed nią się niem poszczycić, by chwałą, stąd uzyskaną, z nią się podzielić.

Dążą całą siłą maszyn swych naprzód, a wzrok podróżnych śle dopiero co opuszczonej ziemi ostatnie «Dowidzenia!» a tęsknie wpatruje się w dal, jakby chcąc ujrzeć już zarysy ziemi ojczystej.

Wracają wszyscy, po wielu przygodach i przejściach. Na przodzie mknie «Orzeł», prowadzony przez Jerlicza, a za nim podąża «Sokół», pod sterem Peńskiego, wioząc, oprócz ciekawych okazów zwierząt, trzech skrępowanych Prusaków, miotających się w bezsilnej złości.

Och, żeby ręce ich były wolne od pęt! Zdusiliby ich, zdławiliby, a palcami, jak szponami, rozdarliby na kawałki... Po opanowaniu aeroplanu, postaraliby się o to, ażeby chwała odkrycia bieguna spadła na nich, wiernych synów potężnej Germanji, a nie na tych zwyciężonych, podbitych Polaków.

Oniby im pokazali. Choćby przez zbrodnię, a dopięliby swego. Lecz cóż, niemocne ręce nie mogą dokonać tego, o czem dusza roi i marzy.

Muszą też poprzestać na miotaniu przekleństw, na obrzucaniu obelgami.

Szał i wściekłość ogarniają ich na widok własnej bezsilności.

A aeroplany mkną naprzód, jak strzała.

Oto minęły już morze wolne od lodów. Oto w falach jego, jakby na pożegnanie, mignęły im błyszczące skręty potwornego Mozasaurusa. Oto łeb jego wznosił się do góry i kiwnął się parokrotnie, jakby w ukłonie pożegnalnym.

A tam znów ponad fale wyskoczył potężny Ichtjosaurus, przed którym w popłochu ucieka całe stado ryb latających.

Minęli też morze i oto rozściela się pod nimi olbrzymia, bezbrzeżna pustynia lodowa. Mijają ją w śpiesznym locie, z góry tylko spoglądając na przemykające się po niej niedźwiedzie białe.

I tam już lato panuje. Ogrzane słońcem, topnieją śniegi i lody, obnażając wierzchołki skał. Unoszą się nad nimi gromady ptactwa przeróżnego, w dziwnym popłochu jakimś lecąc na spotkanie mknących naprzód aeroplanów, otaczają je puszystym obłokiem, tłuką bezsilnie skrzydłami w szklaną ich powłokę.

A «Orzeł» i «Sokół» mkną naprzód. Jerlicz z ręką na rączce maszyny, ze wzrokiem utkwionym w barometr, szuka punktu, w którym znajdować się winna «Polonja».

Skończyła się wreszcie kraina lodowców,

Znów ukazuje się ciemna, błyszcząca powierzchnia wolnego morza, usiana płynąciami gdzie-niegdzie, z rzadka, lodowcami.

Widać na nich okręty i łodzie rybackie, które, korzystając z ciepła letniego, tak daleko zapuściły się na połów.

Widać na nich załogi, jak z zadartymi do góry głowami wpatrują się w mknące w przestworzach, błyszczące w promieniach słonecznych olbrzymie ptaki — maszyny.

Lecz oto i «Polonja».

Krąży po morzu, wolnym zupełnie od lodów, a z kominów jej wali kłębamii dym. Gotowa do drogi, oczekuje tylko na powrót pasażerów swoich.

Lecz co to. Tuż obok «Polonji», buchając również kłębamii dymu, stoi «Germanja».

A więc nie podążyła ona na pomoc swym współbraciom, którzy tam w głębi lodowej pustyni, po rozbiciu się Zeppelina, czekali od nich ratunku i pomocy?

Lecz czemuż krąży tak blisko «Polonji»? Czyżbyż znów szukała zaczepki i siłę przeciwstawić chciała słuszności.

Nie czas jednak myśleć o tem.

Jak lotne ptaki, zlatujące się do gniazd oczystych, spłynęły «Orzeł» i «Sokół» na pokład «Polonji».

Radosne powitania, na usta rwą się pytania, na które nie można nadażyć z odpowie-

dziami. Twarze wszystkie rozpromienione, a w oczach błyszczą łzy rozrzewnienia.

Zajęto się wyladowywaniem aeroplanów. Widok niezwyklej zdobyczy wydobywa okrzyki zdumienia.

Zbrodniczych Prusaków, uwolnionych z więzów, przeprowadzają do wygodnej kajuty, gdzie zamknięci, pod strażą przebywać będą, aż do czasu przybycia do którego z miast, gdzie przed sądem stawieni być mają.

Naraz w tę pełną radości uroczystą chwilę wdziera się donośny huk: to wystrzał z działa!

Wzrok wszystkich skierował się na «Germanję». To ona strzelała. Otaczają ją jeszcze kłęby dymu, a na maszcie widnieją wywieszzone znaki, że chce rozmawiać.

Zdumiał się pan Boniecki i ująwszy za tubę wstąpił na mostek kapitański, polecając dać sygnał, że zgadza się na rozmowę.

Po chwili dał się słyszeć donośny głos, płynący przez tubę, kapitana «Germanji», ritter von Jagowa.

— Widząc powrót wyprawy pańskiej, zapytuję, co stało się z wyprawą naszą?..—brzmiało zapytanie.

— Wszak zawiadomiliśmy panów — odpowiedział mu pan Boniecki — że po rozbiciu się Zeppelina, znajduje się ona pod tym a tym stopniem szerokości północnej, wśród lodowców, oczekując na pomoc z naszej strony.

— A co się stało z trzema uczestnikami wyprawy naszej, którzy udali się z wami? — pytał groźnie ritter von Jagow.

— Po popełnieniu zbrodni, zostali ujęci przez nas i uwięzieni. Po przybyciu do Europy, stawimy ich przed sądem, który im karę za to wymierzy.

— Co?! — zawołał groźnie von Jagow — nie macie żadnego prawa więzić obywateli potężnego królestwa Pruskiego! Domagam się natychmiastowego ich uwolnienia, gdyż w przeciwnym razie zmuszony będę użyć do tego siły...

Słowa butnego Prusaka do żywego oburzyły pana Bonieckiego.

— O prawach naszych — zawołał — my sami najlepiej wiemy. Zbrodniarzy nie uwolnimy, a na siłę odpowiemy siłą..

— Namyślcie się — wyrzekł raz jeszcze ritter von Jagow — daję wam na to pół godziny czasu, poczem przystępuję do działania.

Jednocześnie na pokładzie «Germanji» zapanował ruch. Szykowano działa, załoga ustawiała się w szeregach z bronią w rękę.

Zdawało się, że olbrzym od jednego zamachu zgniecie, zmiażdży mniejszą prawie o połowę «Polonję».

Lecz i na tej ruch zapanował. Pan Boniecki odbył krótką naradę ze Stańczakiem, Jerliczem, Peńskim, kapitanem Browiczem i Runie-

wiczem, wynikiem której było wzniesienie się «Orła» i «Sokoła».

«Orłem» kierował Jerlicz, a prócz niego znajdowali się tam Stańczak i Majewski. «Sokoła» prowadził Peński, a towarzyszyli mu kadet Korchut i cieśla Krempa.

Remisz miał gorącą chęć towarzyszenia im w tej wyprawie, lecz jeszcze nie zupełnie przyszedł do siebie po ranach, odniesionych w walce z von Brunowem.

Każdy z aeroplanów niósł z sobą pewną ilość puszek blaszanych, wypełnionych masą wybuchającą.

Przed upływem oznaczonej pół godziny, pan Boniecki przez tubę zawiadomił rittera von Jagow.

— Po raz ostatni radzimy wam zaprzestać wszelkich kroków zaczepnych, gdyż zanim pierwszy strzał działowy padnie z waszej strony, cały okręt wasz obróconym zostanie w perzynę.

I jakby pierwsze ostrzeżenie, runął z góry do wody pocisk blaszany, rozległ się głuchy huk i fale wody wytrysnęły nagle wysoko.

To podziało piorunująco na wojownicze go kapitana «Germanji».

Zjawił się na mostku, i zupełnie innym tonem mówić zaczął:

— Szlachetny panie, pogroźka moja była tylko odruchem pierwszego oburzenia na wieść

o uwięzieniu mężów tak zasłużonych naszej wielkiej, niemieckiej ojczyźnie. Lecz nigdy bym jej w czyn nie wprowadził.. Ponawiam tylko prośbę mą: każ pan wypuścić uwięzionych.

A na to pan Boniecki:

— Na prośbę pańską odpowiadam kategorycznie: uwięzionych nie wypuszczę; stawię ich przed sądem w Haadze, przed którym również przedstawię i pańskie postępowanie. A panu zamiast pustych pogroźek radzę udać się tam, na północ, gdzie giną wśród lodów pańscy ziomkowie. Teraz zaś żegnam pana.

I na dany znak ruszyła «Polonja» naprzód, w stronę Hammerfestu, a za nią podążały w przestworzach obydwa aeroplany.

«Germanja» czas pewien stała w miejscu nieruchomo, poczem zawróciła na północ i podążyła w kierunku wskazanym jej przez pana Bonieckiego.

Spokojnie już odbywała się dalsza podróż na «Polonji». Profesor, zamknięty w swej kajucie, zajął się porządkowaniem zabranych okazów, przyczem największą pieczołowitością i staraniami otaczał skórę odkrytego przez siebie węża.

Reszta podróżnych całe dnie prawie spędzała na pokładzie, zachwycając się pięknoscią lata podbiegunowego.

Przybyciu do Hammerfestu towarzyszyły

ciągle owacje ze strony okrętów, stojących w porcie. A było ich tam niemało ze względu na porę letnich wycieczek.

Znaleźli też tam mnóstwo listów i telegramów z powinszowaniami. Niemala również znajdowała się ilość depesz, z propozycją urzędzenia odczytów, oraz od wydawców z prośbą odstąpienia opisu wyprawy lub też artykułów dziennikarskich.

— Moglibyśmy nietylko zwrócić sobie kosztą podróży, ale nawet zrobić majątek — rzekł ze śmiechem pan Boniecki, wskazując na owe stopy propozycji.

Na wszelkie jednak propozycje odpowiadał odmownie, uchylając się nawet od dawania jakichkolwiek objaśnień.

Z Hammerfestu wysłał długie depesze do rządów mocarstw, otaczających biegun północny, zawiadamiając je o odkryciu swoim, a zarazem prosząc o utwierdzenie za sobą prawa własności owych ziem i nadania im prawa neutralności.

Po paru dniach, wyruszyła «Polonja» z Hammerfestu, otoczona całym korowodem różnych statków, na których przeważnie dążyli reporterzy dzienników, chcący dowiedzieć się choćby o najdrobniejszym szczególe dla redakcji swego pisma, kierując się do Haagi.

Stary gród holenderski uroczyście przystroił się na przyjęcie gości. Daleko, daleko na-

przód wyjechały na ich spotkanie wspaniale przystrojone okręty. Uroczyście witał ich przemową burmistrz, otoczony radcami; przybyli również i ministrowie, ażeby wyrazić słowa uznania i podziwu dzielnym zwycięzcom bieguna.

Zjawił się przedstawiciel królowej, doręczając panu Bonieckiemu w imieniu tejże, wysoki order holenderski.

Następnego dnia tłumy ludu przepelniły ulice Haagi, wiodące do gmachu, mieszczącego sąd rozjemczy.

Gromkimi okrzykami witały one kroczącego środkiem, w towarzystwie uczestników wyprawy, oraz przedstawicieli władz i różnych instytucji naukowych, pana Bonieckiego, obok którego znajdowała się córka.

Ogólną uwagę zwracała na siebie grupa trzech osobników, o wybitnie pruskim typie, bacznie strzeżonych przez zbrojnych marynarzy.

Cały ten orszak skierował się do gmachu sądu rozjemczego, w wielkiej sali którego zgromadzeni byli przedstawiciele sądu międzynarodowego.

Przed ten sąd wytoczył pan Boniecki oskarżenie swe o zbrodnicze czyny przeciwko kapitanowi «Germanji» ritterowi von Jagow, oraz przedstawił wszystkie występkęi zacnej trójki:

profesora Johana Meiera, profesora Augusta Schulza i porucznika Herberta von Stark.

Krzyki oburzenia rozległy się w sali podczas opisywania zbrodniczego napadu ich w aeroplanie. Natomiast sala rozbrzmiała oklaskami, gdy pan Boniecki opowiadał bohaterski czyn Peńskiego.

— Domagam się od was, panowie, sprawiedliwości — kończył swe przemówienie — domagam się jej dlatego, ażeby na przyszłość powstrzymać od podobnych czynów wszystkich, którzyby w ślady ich iść chcieli, którzyby przemocą zagarniać chcieli zdobycze naukowe innych.

Przewodniczący sądu zapewnił pana Bonieckiego w pełnej mocy przemowie, że stanie się zadość prośbie jego, że winni zasłużoną karę poniosą.

W czasie całych tych rozpraw przedstawiciel Niemiec siedział z głową opuszczoną na piersi, jakby wstydząc się zbrodniczego czynu swych ziomków.

Winowajców na rozkaz sądu zabrano zaraz pod straż, a pan Boniecki z towarzyszami skierował się do hotelu, który już zawczasu przygotowano na jego przyjęcie.

Zaledwie zdołał rozgościć się w numerze, gdy rozległo się pukanie do drzwi, a na odezwanie się jego, stanął w progu służący hotelowy z biletem w ręku, mówiąc:

— Ten pan koniecznie, w nader ważnym interesie, chce się z panem widzieć.

Pan Boniecki wziął do ręki bilet i przeczytał na nim:

Archibald Money

przedstawiciel firmy: Cowning B-os.

New-Jork— London— Paris— Nagasaki— Melbourn— Nankin— Kalkuta— Aleksandrja— Roma.

Zaciekawiony wielce, co może chcieć od niego osobnik, będący przedstawicielem firmy z całego świata, rzucił służącemu:

— Proś!...

Służący zniknął, a po chwili do numeru wkroczył jegomość średnich lat, wygolony zupełnie, w czarnem ubraniu, o przebiegłych oczach.

Skinął na przywitanie głową i zasiadłszy bez ceremonji naprzeciwko pana Bonieckiego, rzekł:

— Odrazu zaczniemy od interesu, gdyż szkoda czasu na próżne gadanie. Proponuję oto panu milion dolarów.

— Za co?—przerwał tenże, zdumiony podobną propozycją.

— Za to — odrzekł przybyły — że pan wraz z towarzyszami swymi puści się swoją «Polonją» w podróż naokoło świata, i wszędzie, w każdym mieście, wygłaszać będzie odczyt o swojej podróży i demonstrować go. Kon-

trakt zawrzemy na przeciąg półtora roku. Wszystkie koszty podróży bierzemy na siebie, a nawet, jeżeli pan chce, nabywamy na własność «Polonję». Pomyśl pan, wszędzie owacje, tryumfalne przyjęcia, uroczystości! Oh... my jesteśmy mistrzami w urządzaniu reklamy, a do tego milion dolarów!

— Ależ ja nie mam najmniejszego zamiaru wygłaszania odczytów — stanowczym tonem odrzekł pan Boniecki.

— Może to mało — milion dolarów — pośpieszył zapytać mr. Archibald Money — no, możemy dać półtora... dwa miliony...

— Nawet za dziesięć milionów się nie zgodzę — rzekł stanowczym głosem pan Boniecki i wstał, dając tem do poznania, że uważa rozmowę za skończoną.

Lecz Amerykanin nie chciał ustąpić.

Przytrzymał go za guzik od surduta i mówił:

— To może pan wygłosi swój odczyt do gramofonu. Za każdą płytę zapłacimy 5,000 dolarów, jeżeli zrobi to córka pana dodamy jeszcze 50%.

— Nie, nigdy — stanowczo odpowiadał pan Boniecki, lecz businessman nie chciał ustąpić.

— To może — mówił dalej — zgodzi się pan, wraz z towarzyszami swoimi, odtworzyć całą tę wyprawę dla zdjęć do kinematografu. Wypłacimy za to 100,000 dolarów.

Lecz pan Boniecki pozostał nieugiętym. Odmówił nawet wydania za 1000 dolarów fotografii swej i towarzyszy, któremi pomysłowy Amerykanin chciał ozdobić chustki do nosa, filizanki i inne drobiazgi.

Gwałtem prawie pozbywszy się natrętnego gościa, zapowiedział służącemu, że nikogo nie przyjmuje.

Lecz łatwo to było powiedzieć, ale wykonać bardzo trudno. Sznurem ciągnęły się deputacje od różnych instytucji naukowych zagranicznych, przynosząc członkom wyprawy tytuły honorowe i zapraszając do siebie dla ogłoszenia odczytów.

Tych nie mógł nie przyjąć. Wysłuchiwał tego, z czem przybywali, lecz na wszystkie zaproszenia, miał jedną odpowiedź:

— I owszem, lecz nie wiem kiedy. Pierwsze sprawozdanie z podróży naszej wygłosi pan Stańczak w Warszawie.

Chcąc uciec wreszcie od tego, po cichu, w nocy, członkowie wyprawy opuścili Haagę i pierwszym pociągiem podążyli do Warszawy.

«Polonja» zaś, z całym ładunkiem swoim udać się miała do Gdańska, gdzie w dokach braci Małęgów nastąpić miało jej wylądowanie.

Zakończenie.

Jakby prąd elektryczny przebiegł po całej Warszawie, gdy we wszystkich pismach codziennych ukazały się olbrzymie telegramy następującej treści:

«Wyprawa, zorganizowana do bieguna północnego przez pana Stanisława Bonieckiego na «Polonji» dosięgła celu. Po dokładnem przeprowadzeniu badań wyprawa nasza, polska, wraca do kraju. Podobno wyprawa narażoną była na szereg przykrości ze strony konkurencyjnej wyprawy pruskiej na «Germanji».

I odtąd codziennie pisma rozchwytywane były przez czytającą publiczność, poszukującą w nich szczegółów wielkiej wyprawy.

Już teraz nie odzywał się ani jeden głos potępienia, nikt nie ganił, a wszyscy, przeciwnie, jednogłośnie wygłaszali hymny pochwały dla bohaterskiej wyprawy, która rozślawiła imię Polski po świecie całym.

Cały tryumfalny pochód do Haagi, oraz w Haadze oddanie sprawy Prusaków sądowi rozjemczemu — wszystko to zajmowało szpalty dzienników, entuzjazmując i gorączkując czytelników.

A cóż dopiero mówić o tem, gdy ukazały się wiadomości o przybyciu członków wyprawy do Warszawy.

Entuzjazm zapanował nie do opisania. Tłumy ludzi krążyły w okolicach pałacyku pana Bonieckiego, ażeby ujrzeć go, lub chociaż którego z uczestników wyprawy.

Lecz próżnemi były te wszystkie usiłowania. Wejście frontowe do pałacyku było tak strzeżone, że nikt przedrzeć się tam nie zdołał, a mieszkańcy wydostawali się z niego oraz wchodzili wejściem bocznem, znajdującem się w zaułku, na który nikt nie zwracał uwagi.

Opowiadano dziwy o różnych rzeczach, jakie wyprawa przywieźć miała do Warszawy, i te dziwy właśnie, a zwłaszcza aeroplany fenomenalne pragnęła ujrzeć rozciekawiona publiczność.

A tymczasem w salonikach pałacyku toczyły się ciągle narady. Przyjmowali w nich udział wszyscy bohaterzy nasi, a główną kwestję stanowiło zapytanie.

— Co zrobić z nowo odkrytym lądem na biegunie?

Prawa własności do niego należały się panu Bonieckiemu bezprzecnie, zwłaszcza, że uprawiał je urzędownie. Należało tylko wynaleźć sposób należytego wykorzystania ich, zwłaszcza w sposób, któryby korzyść mógł przynieść społeczeństwu.

W czasie debatów nad tem, prof. Narbutt spytał, zwracając się do Jerlicza:

— Czy aeroplany pańskiej konstrukcji mogą podnieść znaczny ciężar?

— Bardzo nawet znaczny — odrzekł zapytany — można skonstruować je tak, że uniosą ładunek małego parowca.

— A więc kwestja rozwiązana — rzekł profesor — przy pomocy aeroplanów można zaprowadzić stałą komunikację z wyspą. O ile zdołałem się przekonać, gleba na niej znakomicie się nadaje do uprawy wszelkiego rodzaju zbóż i roślin. Należy więc podjąć na większą skalę kolonizację wyspy.

— Dobrze — rzekł pan Boniecki — lecz skąd wziąć kolonistów, którzyby chcieli przebywać lodowe przestrzenie, by osiedlać się na wyspie biegunowej.

— Panie — zawołał profesor. — Niech pan spojrzy na tłumy ludzi, gnane żądzą zarobku na drugą półkulę, na nędzę nieraz i poniewierkę, na zatrąę dla ojczyzny... Im wszystko jedno, gdzie pójdą, byle tylko byt znaleźli, zarobek i środki do życia...

Toż można tam skierować całą falę emigracyjną ludu polskiego, dążącego na zarobek do Brazylii i Stanów Zjednoczonych.

Gdzie teraz nie znajdziemy chłopca polskiego? niema prawie zakątka ziemi, gdzieby nie stawał się on do pracy nad tą ziemią macierzą, gdzieby krwawego nie przelewał potu, by zdobyć zarobek, którego mu w ojczyźnie bra-

kanie. Lud polski niech zaludni Nową Polonję, choć się ona na biegunie znajduje.

Entuzjazm i zapał profesora częściowo udzieliły się obecnym. Z zajęciem wysłuchali słów jego, wreszcie Stańczak rzekł:

— Dobrze, profesorze — ale co się zrobi z potworami przedpotopowymi, zaludniającymi wyspę?...

— Srogiem jest prawo natury — odparł profesor — tam gdzie stąpi człowiek, ustępować przed nim musi wszelkie stworzenie. Zadaniem naszym będzie nie tępić je, nie niszczyć, lecz izolować na pewnej przestrzeni, by żyjąc tam i mnożąc się, stanowiły ciekawą pamiątkę przeszłości dla ogółu. A może niektóre z nich dadzą się zaaklimatyzować i oswoić? To dopiero czas pokaże.

Projekt profesora przyjęto z uznaniem, pan Boniecki ze Stańczakiem i Peńskim przystąpili wnet do opracowania planu kolonizacji wyspy.

Po ogłoszeniu go, zjawiać się zaczęły grupy emigrantów, którzy chcieli na nowej wyspie nowe zacząć życie.

Lecz nie każdy mógł się tam dostać.

Przebierano między kandydatami skrętnie bardzo, wybierając tylko takich, których kwalifikacje moralne dawały gwarancję, że w zupełności odpowiadać będą wymaganiom.

Rządcą nowej wyspy miał zostać Stańczak.

Nie odjeżdżał tam jednak sám... Towarzystwić mu miała małżonka, którą była panna Marynia.

W czasie podróży oceniła należycie wartość moralną tego syna ludu i z całą ufnością oddała mu rękę, by razem iść przez życie.

Pomocnymi w kolonizacji wyspy mieli być wszyscy. Nawet profesor porzucił swe zajęcia naukowe i przeniósł się na biegun, by poświęcić się tam badaniom przyrodniczym.

Na «Nowej Polsce» nowe budziło się życie.



75639/3



Dodatek do Naszego Świata

Czerwiec 1912